



**Napisał: Artur Korczyński**

**Ilustrował: Przemysław Woźniak**

Szelestu otwieranych drzwi nie usłyszałem. Stałem nad stołem laboratoryjnym i z uwagą wpatrywałem się w oscyloskop, na którego ekranie jadownicie zielone krzywe wykonywały swój mistyczny, bezsensowny na oko taniec. Tak byłem zajęty myślami, że dopiero drugie kasznięcie uświadomiło mi, że nie jestem sam. Odwróciłem się gwałtownie, jak złodziej złapany na wyciąganiu portfela z cudzej kieszeni. Nie wiem dlaczego, ale na widok profesora oblałem się rumieńcem. To było silniejsze ode mnie. Kłamię się w duchu za tę drobną, fizjologiczną niemoc i udawałem, że wcale, ale to wcale nie jestem zmieszany.

– Przepraszam Joe – chrząknął profesor – nie chciałem ci przeszkadzać. Ale ty wspaniale panujesz nad sobą. Inny to by tu umarł ze strachu, gdybym tak niespodziewanie wszedł...

To był cały Joshua Landon. Nigdy nie wiadomo było czy żartuje, czy mówi poważnie. Pamiętałem, jak mnie to peszyło, kiedy byłem jeszcze studentem. Później przyzwyczaiłem się, ale dziś, fakt, że mnie zaskoczył

akurat w tym danym momencie, sprawił, że znów – jak kiedyś – nie wiedziałem czy mówił serio, czy zadrwił sobie ze mnie ostatnim zdaniem.

– Nie, ależ skąd – wybąkałem, starając się nadać głosowi naturalne brzmienie – mam tu na warsztacie taki mały problem, ale to nic poważnego. Przynajmniej dla pana.

Pozwoliłem sobie na to małe kadzenie. Profesor Joshua był uznanym autorytetem fizycznym. Pewnie dlatego dużo dziwactw uchodziło mu bezkarnie; ostatnio zajął się archeologią, jak słyszałem. Wielu jego kolegów ośmieszyły – a kilku zniszczyły – mniej poważne odchylenia niż archeologia. No, ale żaden z nich nie był profesorem Joshua, wielkim Profesorem!

– Taa – przeciągnął – słuchaj Joe. Ostatnio trochę zaniedbaliśmy wspólne prace – cholernie mnie w tym momencie ujął tym jednym słówkiem „wspólne”. Byłem tylko jego jakby asystentem, choć i to za dużo powiedziane – ale ja wciąż pamiętam o tobie. Mam do ciebie prośbę. Czy moglibyśmy zacząć od nowa, widzisz... ostatnio zająłem



sie... hm... trochę innymi sprawami, więc chciałyby się zapytać najpierw, czy zgodziłbyś się na ponowną współpracę ze mną?

I znów ten jego styl! Nie wiadomo czy jest to propozycja zrobiona na serio, czy profesor bawi się ze mną jak kot z myszą. Doskonale przecież zdaje sobie sprawę, że na jedno jego pstryknięcie palcami, z całego kraju zleciałyby się chmara docentów, habilitowanych doktorów a podejrzewam, że i co poniektórzy profesorowie zgodziliby się na stanowisko asystenta, no, powiedzmy współpracownika profesora Joshuy Landona.

– Oczywiście profesoro – powiedziałem, gdy cisza zanadto przeciągała się i widać było wyraźnie, że profesor oczekuje jednak ode mnie odpowiedzi – w każdej chwili jestem do pana dyspozycji.

– Nie, nie, nie o to mi chodzi! – zamachał gwałtownie rękoma – to, co robiliśmy dotychczas to było... no, nieważne. Teraz wykonywalibyśmy nieco inne prace... hm... a właściwie zupełnie inne. Znasz się na gramofonach?

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Cholera, najpierw archeologia, teraz gramofony, profesor chyba jest przepracowany. Ale przecież zupełnie niedawno wrócił z Krety. Może to żona? Profesor, mówiąc delikatnie, nie był już młodzieńcem, a Elizabeth Landon była sporo od niego młodsza. Właściwie była w moim wieku. Może więc ona męczy profesora? A może to jakaś starcza fiksacja?

– Tak, trochę... – bąknąłem – tyle o ile. Jak każdy. To zależy od typu...

– W porządku. Proszę w takim razie, przyjdź do mnie, do domu... powiedzmy jutro, o dziewiętnastej. Odpowiada ci ten termin?

I znów ta jego mania!

– Tak, będę punktualnie.

Profesor wyszedł, a ja dopiero teraz zacząłem łamać sobie głowę nad tą dziwną rozmową i rozmyślać o zupełnie innych sprawach niż te, które pochłonyły mnie przy oscylatorze.

Muszę przyznać, że naciskałem dzwonek przy furtce z uczuciem lekkiej trwogi. Nie wiedziałem, czego oczekiwać po nowych zadaniach profesora a znając jego, można było się nastawić na wszystko. Wata, w którą

zamieniały się podstępnie moje kolana, pochodziła też z całkiem przyziemnych przyczyn. Postanowiłem zagrać *va banque* i iść na całego. Od razu zrobiło mi się lżej na duszy.

Furtka otworzyła się automatycznie. Krótki chodnik wśród wypielegnowanych kwiatów przebyłem w kilka sekund. Te kwiaty były dziełem i dumą pięknej Elizabeth. Profesor nie miał głowy do tak przyziemnych spraw.

Przywitał mnie osobiście w progu. Zdjąłem płaszcz, bo, choć była dopiero połowa sierpnia, wieczór nie należał do najcieplejszych. Księżyc otaczała „lisia czapa”, co wróżyło niepogodę na dzień następny. Pomyślałem przelotnie, że to jest jednak śmieszne: ja, fizyk, ateista z wychowania i przekonania, wierzący jedynie w doskonały Absolut, kieruję się jednak w życiu podobnymi zabobonami. Nie zdarzyło mi się, żebym na widok kominiarza nie złapał się za guzik, a czarne koty przebiegające drogę traktowałem z całą powagą. Na zawsze zapamiętałem ten dzień, gdy w drodze na uczelnię ogromny, czarny kocur przebiegł mi drogę. A szedłem wtedy na bardzo ważny egzamin. Droga była jedyną, chcąc zawrócić i dojść do gmachu inną, straciłbym za dużo czasu i spóźniłbym się na egzamin. Stałem wtedy jak idiota pół godziny w oczekiwaniu na jakiegoś przechodnia, który pierwszy przeszedłby linię, jaką wyznaczył kot przebiegając w poprzek chodnika. W rezultacie spóźniłem się na egzamin, oblałem go, ale wiara w fatalistyczną moc czarnego kota w jakiś przedziwny, przekorny sposób, jeszcze bardziej ugruntowała się w mojej psychice.

Uśmiechając się w duchu do tych wspomnień, podążyłem za profesorem do jego gabinetu. Poczułem się odprężony, lekki. Czyżby czarny kot miał mi oddać w końcu przysługę?

– Siadaj, Joe. Proszę – profesor podsunął mi pudełko z cygarami oraz ozdobną szkatułkę z papierosami. Poczęstowałem się „Chesterfieldem” i zapadłem w głęboki fotel na zapraszający gest ręki. Profesor nalał whisky, tak na dwa palce (doskonale pamiętałem, że lubię whisky i to właśnie w takiej ilości) i usiadł po przeciwnej stronie niskiej ławy.

Wojciech 87



... nie wiedziałem czy żartuje, czy mówi poważnie.



– Zapewne dziwisz się dlaczego, zamiast do laboratorium, przyprowadziłem cię do gabinetu?

Skinąłem głową.

– Sprawa, którą chcę ci zaproponować, wymaga najpierw dogłębnego omówienia. Nie muszę cię chyba prosić, żeby to, co teraz powiem...

– W porządku, profesorze – pozwoliłem sobie na przerwanie mu, lubił widzieć, że ktoś rozumiał w lat, co mówi – nikt nie dowie się o naszej rozmowie.

– Dziękuję – Joshua Landon kiwnął głową z aprobatą – to jest zresztą i tak bez znaczenia. Chodzi mi głównie o Elizabeth.

Poczułem nagły skurcz żołądka.

– Wyjaśnię ci to zresztą później. Najpierw powiedz mi, jaki jest twój stosunek do podróży w czasie i temu podobnych zagadnień?

Spojrzałem ze zdziwieniem. Czyżby znów jakieś zachwiania równowagi umysłowej?

– Cóż, wykorzystując swoją fizyczną wiedzę, powiedziałbym, że taki sam jak większości ludzi.

– To znaczy?

– Dobry, choć mocno wyeksploatowany temat *science-fiction*. Nic więcej.

– Hm... a gdybym ci zaprzeczył i udowodnił, że tak nie jest? – zapytał profesor patrząc na mnie badawczo.

Znów nie wiedziałem, czy mówi poważnie. On, filar współczesnej fizyki, chce kwestionować prawa, zweryfikowane już chyba w czasach Newtona.

– Posłuchaj więc. Wiesz zapewne, że zająłem się ostatnio dosyć intensywnie archeologią. To nie przypadek ani też jakaś fikcja – do diabła, chyba znów się zaczerwieniłem – zaraz ci to wytłumaczę. Otóż wpadłem kiedyś na pomysł, że przeszłość nie jest dla nas tak niedostępna jakby się wydawało. Czy pomyślałeś sobie kiedyś, co by się stało, gdyby na przykład podczas formowania glinianej misy, powiedzmy kilkadziesiąt wieków temu, jakiś egipski czy inny garncarz złobiał rylcem wzór spirali, podśpiewując przy tym? Co wówczas by się stało?

Zrobiłem głupią minę. A bo ja wiem? Nie wiedziałem, o co mu chodzi.

– Powstałaby swego rodzaju płyta gramofonowa. Gdybyśmy taką misę odnaleźli teraz, względnie całą i użyli specjalnie skonstruowanego wzmacniacza i gramofonu, usłyszelibyśmy piosenkę i w ogóle wszystkie odgłosy, jakie towarzyszyły powstaniu tej misy. Piosenkę garncarza, zgrzyt koła garncarskiego i tak dalej.

Nieśmiałe podejrzenie zakiełkowało w moim mózgu. Domyślałem się chyba, dlaczego zapytał się wcześniej czy znam się na gramofonach.

– Żeby nie wdawać się w przydługie dyskusje – ciągnął dalej profesor, pokrzepiwszy się łykiem whisky (zrobiłem zresztą to samo) – powiem ci, że skonstruowałem taki wzmacniacz i taki gramofon. A pytałem się ciebie dlatego, czy znasz się na tym, ponieważ potrzeba mi pomocy kogoś w budowaniu gramofonów. Chodzi o to, że nie każda taka misa, czy inny przedmiot, może to być waza, da się jakby odtworzyć z tego, który skonstruowałem. Rozumiesz?

Milczałem, oszołomiony.

– To dlatego jeździł pan na Krętę?!

– Tak. Szukałem interesujących mnie obiektów.

Wszystko powoli stawało się jasne. Czułem, że koncepcja profesora zaczyna mnie wciągać.

– To nie wszystko. Poszedłem jeszcze dalej. Melodie sprzed kilkunastu tysięcy lat to przecież nic innego, jak zwykle drgania powietrza, rozchodzące się izotropowo ze źródła dźwięku. Tak? Otóż pomyślałem sobie, że przecież i my sami składamy się z drgań. No, oczywiście nie takich samych, ale zasada jest jedna. Tyle, że rozgrywa się to na poziomie atomowym. A gdyby tak te drgania pochwycić, zmierzyć i za ich pomocą odtworzyć człowieka? Albo jeszcze lepiej. Wychwycić drgania sprzed, dajmy na to, dwudziestu lat i przetransportować się w przeszłość. Rozkładając je na atomy i wpasowując je niejako w zastany wzorzec? Z całym zasobem doświadczenia jakie dały przeżyte lata?

Myślałem, że śnię. Pomysł był tak fantastyczny, że aż nierealny.

– Oczywiście to diablo trudna sprawa. Amplituda tych drgań maleje przecież wraz



ze wzrostem odległości i czasu. A mielibyśmy do czynienia nawet z kilkunastowiecznymi odcinkami czasowymi. Można przecież wcielić się w innego człowieka, wykorzystując ten jego „atomowy wzorzec drgań”.

Tu nie wytrzymałem.

– Profesorze! Ależ to jest sprzeczne z podstawowymi prawami fizyki... – zacząłem, ale spojrzał na mnie tak, że urwałem w pół słowa. No tak, komu ja chcę robić wykład z fizyki – ... a napewno sprzeczne jest ze zdrowym rozsądkiem – dokończyłem mniej pewnie.

– Prawa fizyki, powiadasz – upił łyk – znanej fizyki trzeba dodać. A jeśli fakty nie zgadzają się z tą fizyką, którą znamy, trzeba po prostu stworzyć nową fizykę – powiedział spokojnie.

Prawdę mówiąc, zaskoczył mnie tym nowatorskim twierdzeniem.

– A jeśli chodzi o zdrowy rozsądek, to przypomnij sobie już sam, ile było w historii odkryć i wynalazków sprzecznych z tak zwanym „zdrowym rozsądkiem”. Choćby telefon. Zresztą, jeśli mi nie wierzysz na słowo – jak przystało prawdziwemu fizykowi – mogę zademonstrować ci całą tę aparaturę. Jest na górze, w laboratorium – wskazał szklanką, trzymaną w ręku, sufit.

– Więc jeśli pan wszystko zrobił, to po co jestem panu potrzebny? – rzuciłem, bowiem zaświtała mi w głowie upiorna myśl, że chce zrobić ze mnie jakiegoś „doświadczalnego królika”, taki „próbny balon”. Teraz też stało się jasne, dlaczego powiedział na początku, że nie ma to znaczenia, czy zachowam tę rozmowę w tajemnicy. Niechbym tylko wystąpił publicznie z podobnymi teoriami! Byłbym skreślony jako fizyk. Nawet on, wielki Joshua Landon, zachował to w tajemnicy.

– Widzisz, ja właśnie chcę się przemieścić w czasie – gdybym nie siedział na fotelu napewno padłbym jak długi. I tak wylałem sobie whisky na spódnie – potrzebny mi jest pomocnik do wykończenia aparatury, no i ... widzisz. Od pewnego czasu zaniedbałem Elizabeth. Zresztą już nie te lata, sam rozumiesz, gdy dożyjesz mojego wieku. Jednym słowem ... ona ma kogoś. Chciałbym, żebyś po moim ... hm ... zniknięciu, zajął się nią.

Byłbym spokojny, gdybym wiedział, że ona ... z tobą ... widzisz, jesteś dobrym chłopakiem – popatrz na mnie – a rozwodzić się nie chce. Rozumiesz?

I znów! Zgrywa się czy mówi poważnie? O tym, że Elizabeth ma kogoś, wiedziałem doskonale. Od siedmiu miesięcy tym kimś byłem właśnie ja. Wtedy przy oscyloskopie, złapał mnie na marzeniach o szczęśliwym życiu we dwoje: z Elizabeth. Dlatego bałem się tu przyjść. Nie wiedziałem, czy wie, czy nie. Dzisiejsza rozmowa sporo wyjaśniła, ale w dalszym ciągu nie miałem pewności.

★

Praca potoczyła się jak z bicza strzelił. Przekonałem Elizabeth, że zniknięcie profesora będzie nam na rękę. Joshua chciał zostawić rzekomy testament, w którym przyznaje się do samobójstwa w taki sposób, by nie można było odkryć zwłok, przekazuje mi pod opiekę swoją żonę oraz czyni mnie spadkobiercą wszystkich swoich prac. Materiał nie dziedziczyła Elizabeth. Profesor nie miał już żadnej rodziny, więc odpadali spragnieni zeru krewni.

Wszystko potoczyło się jak z płatka. Ustaliłem z profesorem, że teorię o odtwarzaniu dźwięków z wyrobów historycznych podam jako swoją. Profesor przygotował pełną dokumentację, tak więc dysponowałem argumentami nie do zbicia. Miałem zyskać sławę. To było wynagrodzenie dla mnie za pomoc przy wykańczaniu aparatury i przygotowywaniu całego przedsięwzięcia, bowiem nie chciałem przyjąć od profesora zapłaty.

Joshua Landon pozostał do końca sobą. Gdy miał już wchodzić do kabiny dezintegratora, spytałem go, w kogo ma zamiar się „wpasować”. Odpowiedział jak zwykle tak, że nie wiedziałem czy żartuje, czy mówi poważnie:

– W piosenkarza...

★

Cholerny profesor! Kupiliśmy wczoraj z Elizabeth płytę z nagraniami jakiejś gwiazdy pop-music sprzed lat. Nazywa się Kenneth Alvin czy jakoś tak. Ten głos... przysiągłbym ... No i tytuł największego przeboju: „Niewierna Elizabeth i Joe”!